

Tomasz Klimala (12 lat)*

*(Już w tym wieku talent pisarski i wrażliwość muzyczna Tomka są widoczne. Nic dziwnego, że po skończeniu studiów w Krakowskiej Szkole Scenariuszowej i Filmoznawstwa na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego odnosi on sukcesy pisząc scenariusze do filmów fabularnych i telewizyjnych (m.in. W Rytmie serca, Pierwsza miłość). Jest laureatem wielu nagród w konkursach na scenariusz (m. in. Dama pikowa). W grudniu ubiegłego roku Tomasz Klimala zajął I miejsce, spośród 856 anonimowo nadesłanych prac na konkurs "Małopolska Nagroda Filmowa - Trzy Korony", za scenariusz filmu fabularnego "Sokół", który wkrótce będzie realizowany. Tomasz Klimala jest również reżyserem filmowym i członkiem Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Moje przygody z muzyką

W internecie możemy znaleźć następujące informacje: « W USA przeprowadzono badania, które wykazały, że muzyczna stymulacja w okresie płodowym wpływa na rozwój mózgu. Bodźce muzyczne pobudzają słuch, dzięki czemu dziecko się rodzi z większą ilością komórek nerwowych, a to z kolei decyduje o jego większych możliwościach. Zaobserwowano, że słuchanie muzyki Mozarta wpływa bardzo korzystnie na liczbę połączeń nerwowych między obiema półkulami mózgowymi. Dzieci, których matki w czasie ciąży słuchały takiej muzyki, rodzą się radosne, spokojne, intensywniej gaworzą, szybciej uczą się siadać, a w szkole odnoszą większe sukcesy – są bardziej kreatywne, bogatsze emocjonalnie. »

Udowodniono, że dziecko w łonie matki już od dwudziestego szóstego tygodnia słyszy melodię i wyczuwa rytm. Odpowiednio dobrana muzyka wpływa pozytywnie na rozwój; oprócz Mozarta poleca się kompozycje Vivaldiego, Straussa i Beethovena; korzystne efekty osiąga się również słuchając chorałów gregoriańskich.

W moim przypadku rozwój – choć chyba nie jest to najlepsze słowo – poszedł w nieco innym kierunku. Mianowicie zamiast wyżej wspomnianych kompozytorów docierały do mnie przez błony płodowe dźwięki muzyki śmietanki twórców *Italo Disco*, *Euro Pop* i *New Romantic*. Namiętne słuchanie przez moich rodziców Julio Iglesiasa, Drupiego, Demisa Roussosa, Sabriny, Duran Duran, Kombi, Papa Dance, Bandy i Wandy, Talk Talk, Eurythmics i Toto Cotugno nie mogło zostać bez wpływu. Szczególnym upodobaniem w domu cieszył się chyba ten ostatni artysta. Podobno po urodzeniu bardzo głośno i długo krzychałem, i z tych wrzasków dało się wyłowić fragment jednej z piosenek Włocha. Mało tego, pierwszym słowem, jakie wyartykułowałem było nie « mama » albo « tata », ale « toto! », co wywołało pewien niepokój domowników.

Można tu jeszcze wspomnieć o poglądzie niektórych badaczy, według których na dziecko w fazie prenatalnej wpływa także systematyczne śpiewanie przez matkę określonych dźwięków; powoduje to umuzykalnianie, uspokajanie potomka. Moja mama śpiewała mi określone dźwięki; konkretnie były to 3 dźwięki.

Odkąd pamiętam muzyka w naszym domu zajmowała zawsze miejsce na piedestale. Książki w naszej skromnej, prowincjonalnej biblioteczce przykrywała coraz grubsza warstwa kurzu, za to płyty gramofonowe były niemalże zawsze ciepłe. Niektóre z nich stanowiły także dekorację ścienną; jedynym obrazem była identyczna z oryginałem reprodukcja *Jedzących kartofle* Vincenta van Gogha (kupiona przy Bramie Floriańskiej w Krakowie), wisząca na ścianie w salonie pomiędzy Michele Sardou i Hanką Ordonówną.

Oprócz nurtu muzycznego wspomnianego przy okazji moich narodzin wpływały na mnie jeszcze 3 inne prądy. Pierwszy z nich wydobywał się z ust mojej babci. Były to różne pieśni religijne, śpiewane z dużą ekspresją i zaangażowaniem, a wręcz z poświęceniem (także całej rodziny), ze szczególnym faworyzowaniem Godzinek do NMP. Charakteryzowały się one wielką melodyjnością, powtórkami, dużą rozpiętością tonalną i pewną piskliwością.

Drugi nurt był autorstwa mego dziadka i można ten nurt z grubsza określić jako patriotyczno-wojenny. Dziadek największym afektem darzył muzykę; był artystą samoukiem i multiinstrumentalistą. Pamiętał mnóstwo piosenek z młodości, a jak nie pamiętał to na bieżąco improwizował zarówno teksty jak i muzykę; specjalizował się w tworzeniu efektywnych *bridge'ów*. Posługiwał się głównie akordeonami : miał dwa Weltmeistry oraz najcenniejsze, ubóstwiane Soprani z białym obiciem, którego nikt nie mógł dotykać. Choć jego prawa ręka nigdy nie wiedziała, co robi lewa, nie można było dziadkowi odmówić pasji i pracowitości. Od urodzenia (mojego) był też wielkim orędownikiem mojej edukacji muzycznej i robił co mógł, aby zaszcześcić we mnie miłość do tej pięknej sztuki i dziedziny życia ("byłem nie uczył się gitary, bo to ci przerośnięci z długimi włosami grają na gitarach i bucą". No cóż, musimy mu to wybaczyć.

W końcu trzeci nurt, być może najistotniejszy. Jako że wychowałem się w małym miasteczku mającym w nazwie "Podhalański" (Maków), przy wszelkich nadarzających się okazjach gorliwie kultywowano tradycje góralskie. Najlepszą do tego okazją były dość częste ogniska, w których brała udział bliższa i dalsza rodzina, sąsiedzi, znajomi oraz ewentualnie przygodni pielgrzymi. Co ciekawe, nie najważniejsze były tu kiełbaski, woda ognista czy popisy oratorskie, ale właśnie muzyka. Gdy dopisało szczęście i któryś z wujków przejął akordeon dziadka, natychmiast dołączały się do niego skrzypce, flet, później kontrabas, a zdarzało się, że nawet i puzon. A wraz z nimi naturalnie pojawiało

się ogromne bogactwo wokalne. Kogóż tam nie było! Był nieco zubożały głos Kiepury, była Violetta Villas, był Rosiewicz, Markowski, był wokalny sobowtór Himilsbacha i oczywiście kilka zdrowych, góralskich głosów. Nawet babcia podrzuciła swoje powszednie spectrum zainteresowań i obdarowywała wszystkich sopranem koloraturowym w niecodziennym użyciu.

Myślę, że takich ognisk nie było i już nie będzie po tej stronie rzeki Skawy. Obfitość piosenek była nieprzebrana; wielu przyśpiewek nie rozumiałem, ale i tak je uwielbiałem i w locie zapamiętywałem. Niestety, nie trzeba było długo czekać, aby przyniosło mi to zgubę. A było to tak.

Postanowiono mnie posłać do przedszkola. W końcu do prawidłowego rozwoju potrzebny jest kontakt z rówieśnikami. Któż mógł przewidzieć, że moje kontakty będą tak pełne antagonizmów i nieporozumień. Ale jak zaakceptować nakaz snu w południe? Miałem o wiele lepsze zajęcie w tym czasie. Eufemistycznie można powiedzieć, że śpiewałem innym dzieciom, aby łatwiej im było zasnąć. Mój repertuar nie przypadł jednak do gustu; nie wiem, co złego widziano w *Anielskim orszaku* i *Ej, dziewczyno ejniebogo*. A ja po postu nie mogłem egzystować w martwej ciszy i bezruchu. Czarę goryczy przelałem jednak drugiego dnia śpiewając przyśpiewkę zasłyszaną poprzedniego wieczoru podczas ogniska następującej treści :

*Tańcowała Marianka z Wickiem, Wickiem
Wybiła mu cztery zęby cyckiem, cyckiem
Czemu żeś sie nie łodsunoł Wicek, Wicek*

*Jakżeś widział rozhuśtany cycek, cycek
Czemu żeś się Marianka trzonsta, trzonsta
Wybiłaś mi cztery zemby z dzion...*

I w tym momencie siostra Eliza, która nadbiegła najszybciej ze wszystkich Serafitek, przerwała brutalnie mój trel. W ten sposób po dwóch dniach zostałem wydalony z przedszkola. Uważam, że była to jawna niesprawiedliwość i dalej mam o to żal. Skąd mogłem wiedzieć... Nie stworzono mi także należytych warunków do resocjalizacji. Było to moje pierwsze starcie z panującym systemem aksjonormatywnym.

W tym miejscu można zauważyć, że nieświadomie byłem kształtowany przez dwie popularne metody edukacji muzycznej najmłodszych. Z jednej strony była to metoda Zoltana Kodalya, polegająca na tym, że dzieci powinny na początku śpiewać muzykę ludową ze swojego regionu, gdyż została ona stworzona z serca przez miejscowych ludzi, a przez to jest ona najbliższą sercu, korzeniom. Śpiew i żywe muzykowanie oraz folklor to fundament edukacji ułatwiający zdobycie kompetencji muzycznych na wzór językowych. Ale co Serafitki mogły o tym wiedzieć.

Z drugiej strony samodzielnie wcielałem w życie metodę Carla Orffa zalecającą jak najmłodszym dzieciom granie na instrumentach perkusyjnych – najważniejszym elementem w muzykowaniu jest bowiem rytm. Choć nie miałem *hi-hatów* ani werbla, miałem talerze i kotły, które przystosowywałem do swoich celów. Generalnie wybijałem rytm czym i na czym tylko się dało. Myślę, że zyski zrekompensowały straty.

Co jeszcze w tym okresie wpłynęło na mój... hmm... rozwój?

Był upalny, lipcowy wieczór. Słońce wisało nadal dość wysoko na nieboskłonie, palące niemilosiernie. Wydawało się, że cały świat zastygł, ludzie skryli się gdzieś w cieniu. Ulice i chodniki były puste, furmanki gdzieś zniknęły. W przenikliwej ciszy dało się usłyszeć brzęczenie much i trzmieli. Z oddali dobiegał ledwo słyszalny śpiew babci, zbierającej w ogrodzie maliny (oczywiście nie sprawdzała, czy są w nich robaki). Wydawało się, że czas się zatrzymał, jedynie powoli przesuujące się słońce przypominało, że jednak jest to złudzenie. Siedziałem w kucki na podwórku, korzystając z ostatnich chwil sposobności zabawy z mrówkami przy pomocy lupy, gdy nadeszła moja mama. Powiedziała, że ma dla mnie niespodziankę, kazała mi się przebrać, sama była w stroju niedzielnym, więc ja również taki przywdziałem. Chwyciła mnie za rękę i poszliśmy przez martwe miasteczko w nieznanym mi kierunku. Po pewnym czasie zacząłem słyszeć jakiś szmer. Stawał się on coraz wyraźniejszy, po chwili przeobraził się w muzykę, dość tajemniczą a przez to fascynującą, będącą dla mnie czymś nowym. Doszliśmy wreszcie do estrady przylegającej do Ochotniczej Straży Pożarnej. Zaginięcie nagłe mieszkańców miasta wyjaśniło się. Wszyscy byli tutaj (brakowało może ośmiu osób) i z przejęciem patrzyli w kierunku sceny. Nucili, trzymali się za ręce, dało się odczuć zawieszoną w tym gorącym powietrzu dobroć i anielskość. Gdy zespół zagrał pierwsze takty kolejnej piosenki, słuchaczy ogarnęła euforia, nawet niektórym starszym obywatelkom wyrwały się z gardeł niepożądane piski i po chwili okrywał je rumieniec wstydu. Melodia niejasno mi się kojarzyła, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd ją znam. Zaczęliśmy z mamą przeciskać się do przodu. Widziałem fragment postaci stojącej na środku sceny; z daleka myślałem, że to ktoś przebrany za pszczołę albo osę. Gdy w końcu znaleźliśmy się tuż przed sceną, okazało się, że to dorodny mężczyzna odziany w atlasową marynarkę w poprzeczne żółto-czarne paski i sztruksowe spodnie oraz zamszowe buty na koturnach. Jego włosy przypominały grzywę lwa. A okulary dodawały mu niewątpliwie inteligencji. Jak się później dowiedziałem, był to Zbigniew Wodecki. W kolejnych utworach zonglował mikrofonem, trąbką i skrzypcami, podziwiałem jego zdolności oraz wielorakie talenty. Gdy zapowiedział ostatnią piosenkę ogarnął mnie smutek, publiczność z żalem westchnęła. Kiedy zaczął śpiewać “Zacznij od Bacha, nim słońce po dachach...” moją krtań ścisnęło wzruszenie i radość, na widowni podniosła się wrzawa. Artysta tak się rozentuzjzmował, że zaczął energicznie tańczyć i gestykulować, w wyniku czego w

pewnym momencie ze spoczonej dłoni wypadł mu mikrofon i poleciał prosto do mnie. Złapałem go pewnie; ku mojemu zaskoczeniu głos śpiewaka mimo braku mikrofonu ani trochę nie umilkł. Pomyślałem “to ci dopiero talent!”, po czym mimowolnie, bez zastanowienia przyłożyłem mikrofon do ust i dokończyłem refren. Wzbudziło to aplauz współplemieńców, radość mnie rozpieła, ale to było nic w porównaniu z tym co miało nastąpić za chwilę. Nieco złęknioty pan Zbigniew przykucnął i wyciągnął do mnie ręce, jedną wziął mikrofon a drugą uściśnął moją dłoń uśmiechając się serdecznie. To była najpiękniejsza chwila w moim dotychczasowym życiu. Słowa nie są w stanie wyrazić tego, co wtedy czułem, mogą te słowa jedynie niezręcznie próbować naśladować tamte uczucia, więc lepiej milczeć, aby nie wypaczyć tamtejszych wzruszeń.

Pan Zbigniew od odzyskaniu mikrofonu dokończył piosenkę śpiewając :

Tu du ru duTu ru du du daj pa rub a dudu du dajTu ru du du daj pa ru ba du du ru duDu
ru daj du ru du du ru du du – witaj!

A ja postanowiłem po powrocie do domu sprawdzić kim jest ten Bach, od którego mam zacząć.

Pomoc znalazłem u moich dwóch sióstr, znacznie starszych ode mnie i bardziej doświadczonych muzycznie. Doświadczonych również cierpieniem, bo przecież muzyka to nie igraszka. Z tego, co wiem, najdotkliwsze i najpoważniejsze stało się dla nich jedno ze spotkań z wujkiem Waldkiem z zagranicy –moje siostry były wtedy w podobnym wieku jak ja pytający o Bacha. Wujek Waldek zadał im jednak inne pytanie. Był to człowiek światowy, a w tamtych czasach naprawdę niewielu ludzi mogło szczyścić się tą etykietą; podróżował po różnych krajach położonych na zachód od Odry za kierownicą swojego osiemnastokołowca i z nie jednego pieca jadł chleb. Był swoistym łącznikiem naszej rodziny z Europą, reprezentował sobą aktualne trendy, misternie tkął wielogodzinne opowieści o świecie naszych marzeń; nikt nigdy nie miał odwagi ani ochoty mu przerywać. Zdarzało się też, co prawda niezwykle rzadko, że poczęstował puszką coca-coli, która błyskawicznie opróżniona niechybnie stawała się częścią dekoracji salonu. No i wujek Waldek był także promiennym melomanem oraz wirtuozem (przynajmniej w jego opinii) gitary elektrycznej. Owo doniosłe zdarzenie dla mych sióstr miało miejsce zaraz po powrocie wujka z Holandii. Zszedł na podwórko do bawiących się dzieci, oparł się o mur domu, zsunął kapelusz niżej na czoło. Włożył do ust papierosa marki Camel i wycedził przez zęby : “Dziewczynki, a jakiej wy muzyki słuchacie?” Jako że nie słuchały właściwie żadnej – oprócz dokonań babci i dziadka – poczuły się bardzo zawstyżone i pędem pobiegły do kuzyna z sąsiedztwa, Darka. Wiedziały, że ma on jakieś kasety z zagranicy i liczyły na to, że on oświeci je i powie kogo powinno się słuchać. Darek słysząc kłopotliwe pytanie zmarszczył czoło i w tym pomarszczeniu

milczał przez dłuższą chwilę, po czym z uśmiechem oświadczył : “Powiedzcie, że Madonnę”.

Dziewczynki rozpromienione puściły się pędem z powrotem do domu, po drodze dołączyła się do nich zaciekawiona i zawsze gotowa na wszelkie przygody grupa dzieci z bliskich bloków. Cała gromadka stanęła przed dopalającym papierosa wujkiem Waldkiem; moje siostry założyły ręce za siebie i pewnym tonem, z nieukrytą dumą oznajmiły : “Ma don ne!”. Wujek usłyszawszy to wypluł papierosa, przydeptał go niczym James Dean i kpiarsko się uśmiechając powiedział : “Madonnę? Madonna jest już niemodna, Madonny nikt już nie słucha!”

Choć później okazało się, że Madonna przeżyła wujka Waldka, dla moich sióstr ten niewątpliwy dyshonor był oczywiście wielkim wstrząsem. Dzieci z sąsiedztwa wytykały je palcami; siostry zamknęły się w sobie, straciły apetyt. To wydarzenie spowodowało też, że niebawem wkroczyły one na dwie różne ścieżki muzyczne, trzeba przyznać dość ekstremalne. Kasia stała się wyznawczynią rapu w specyficznej odmianie; jej guru został Dr. Alban, zasłuchiwała się także w Culture Beat i w Fun Factory. Ania stała się « depešowcem » (Depeche Mode), nie gardziła też Roxette.

Ale, ale, gdzież ja się zapędziłem! Wróćmy do mnie i do mojego pytania o Bacha! Było ono o tyle zasadne, że w tym czasie moje siostry – “dopingowane” przez tatę – pobierały podstawową klasyczną edukację muzyczną, to znaczy uczyły się grać na pianinie. Zapomniałem na śmierć o tym, że w naszym salonie po dziś dzień stoją dwa pianina, choć jedno z nich właściwie tylko stoi, gdyż dźwiękiem przypomina bardziej klawesyn.... Winyłów tego Bacha oczywiście nie mieliśmy żadnych, znalazły się za to nuty jakiejś toccaty i fugi d-moll. Zacząłem więc pobierać intensywną naukę gry na pianinie u moich sióstr; one natomiast pobierały intensywne lekcje u ich nauczycielki. Przyznam, że nie przychodziło mi to łatwo i mimo silnej motywacji potrzebowałem dodatkowych bodźców wywoływanych linijką (potrzebowałem ich przynajmniej według moich sióstr). Dość szybko zacząłem tworzyć własne kompozycje; wystartowałem więc później niż Mozart, ale trochę wcześniej niż Beethoven. Wróćmy jednak do Bacha. Niestety przygoda z jego wspomnianym dziełem kończyła się zawsze w połowie trzeciego taktu. Zmasowane sześćdziesięcioczwórki okazały się dla mnie zbyt dużym wyzwaniem. Musiałem na jakiś czas porzucić moje zapędy pianistyczne i jakoś odreagować.

Uczęszczałem już wtedy do szkoły podstawowej, w której niewątpliwie nie mogło zabraknąć miejsca dla lekcji muzyki. Mało tego, w szkole istniało ognisko muzyczne! Jako że miałem pozytywne skojarzenia zarówno ze słowem “ognisko” jak i “muzyczne”, bez wahania zapisałem się do nowo formowanego ogniskowego zespołu flecistów prostych. Szybko pokochałem ten instrument, wprost uwielbiałem biegać moimi małymi tłustymi

paluszkami po dziurkach i zapamiętałe dmuchać w wąską szczelinę, w wyniku czego w powietrzu rozchodziły się czyste, przenikliwe dźwięki, niczym wypuszczone na wolność kanarki harceńskie. Po kilku miesiącach treningów nasz zespół o nazwie "Super Flety" zaczął dawać publiczne koncerty. Na początku był Dzień Matki, później koncert z okazji Dnia Dziecka, Dnia Ojca i w końcu pamiętny wojewódzki konkurs szkolnych zespołów fletowych na zakończenie roku szkolnego. Byliśmy świetnie przygotowani, w repertuarze mieliśmy *My jesteśmy krasnoludki*, *Kundel bury*, *A ja rosnę* oraz zaproponowaną przeze mnie melodię pewnej przyśpiewki góralskiej, która miała być gwoździem programu. Chyba nie muszę wspomnieć, kto był solistą zespołu. Niestety występ okazał się kompletnym fiaskiem, gdyż Wiesiek, zwany Wiesiem Olesiem, w trakcie *Kundla burego* dostał czkawki i co chwilę przerywał grę niczym hejnalista na Wieży Mariackiej. Widownia przy tym wpadała w spazmatyczne ataki śmiechu, my patrzyliśmy na siebie z przerażeniem, w końcu Anetka zajęła się płaczem, za nią łzami zalała się Madzia i Tazio, po chwili wszystko się posypało.

Mimo tak traumatycznego doświadczenia nie porzuciłem z miejsca fletu, zrobiłem to dopiero prawie miesiąc później. W wakacje tato z niewiadomych przyczyn zaczął ode mnie pożyczać instrument oraz nuty i popadł w istne fletowe szaleństwo. Codziennie po powrocie z pracy z wielkim zaangażowaniem ćwiczył swoją grę, czasami przez kilka godzin. Niestety wachlarz jego utworów był dość ubogi, a po pewnym czasie ograniczył się właściwie do *Szła dziewczeczka do laseczka*. Słyszając codziennie kilkadziesiąt razy refren tejże kompozycji nie mogłem pozostać przy zdrowych zmysłach, znienawidziłem flet i po dramatycznej walce z samym sobą postanowiłem się go pozbyć. Wrzuciłem flet do lokalnej rzeki Skawy. Kto wie, może dzisiaj jakiś inny chłopiec w niego dmie, gdzieś w Mazowieckiem czy Pomorskiem?

W międzyczasie moja siostra Ania zarzuciła swoje zainteresowania "depeszowe" i zaczęła uczęszczać do szkoły muzycznej w Żywcu. W sumie nie było to nic dziwnego, musiał kiedyś nastać moment, w którym jakiś reprezentant naszej rodziny zdecydowałby się poświęcić i całkowicie się oddać muzyce. Jak przystało na delikatną i wątłą dziewczynę, Ania wybrała za wiodący najporęczniejszy z instrumentów, czyli kontrabas. Początkowo cieszyłem się z jej decyzji i pochwalałem ją; było tak dopóki Ania nie zaczęła przywozić swojego nowego przyjaciela do domu i pracownicy uczyć się jego obsługi. Szybko zrozumiałem, że wybór właśnie kontrbasu nie był przypadkowy, ale rdzennie uwarunkowany, być może nawet genetycznie. Otóż nasz dziadek jest stolarzem (mieszkamy w jednym domu) i Ania od urodzenia miała styczność z dźwiękiem piłowania oraz cięcia drewna na różnorodnych maszynach w jego warsztacie. Jak widać, podświadomie przyswoiła sobie zamiłowanie do piłowania i tak jej zostało.

Dzięki Ani poznawałem zatem cały arsenał utworów klasycznych, poznawałem i poznawałem, aż niemalże stałem się klasyką. Połączenia nerwowe musiały mi się wtedy bujnie rozwijać. Oprócz kontrabasu miałem też szeroką styczność z puzonem, ponieważ Maciek, szkolny kolega Ani, a prywatnie jej chłopak, grał na tymże wywijasie. Mnie również podszeptowano wtedy do podjęcia kształcenia się w jakimś instrumencie dętym, gdyż podobno mam dobry dmuch, ale wystraszyłem się i nie podjąłem wyzwania, czego do dzisiaj żałuję.

Mógłbym tu jeszcze długo pisać o wielu zdarzeniach, incydentach z mojego życia związanych z muzyką, o różnorodnych bodźcach, wpływach, zainteresowaniach, inspiracjach, pasjach, bólach i łzach. Mógłbym pisać o dotkliwym przeżyciu związanym z podróżą samochodem przez pół Polski z kolegą mojego taty, który okazał się być wielkim miłośnikiem, mało znanej szerokiemu gronu, muzyki więziennej i przez całą drogę słuchał najdorodniejszych jej kwiatów, a na dodatek je wyśpiewywał. Mógłbym pisać o mojej silnej fascynacji Captain Jack'iem i Scatman'em, którzy pomogli mi więcej niż logopeda. Mógłbym pisać o mojej trwającej ponad pół roku mutacji i całym męczeństwem z tym związanym. Mógłbym pisać jeszcze o wielu znaczących (dla mnie) epizodach z mojego niepozornego, niepoczesnego życia, gdybym miał tyle czasu na tego typu aktywności, co mój imiennik Mann, i choć promił jego erudycji, polotu, błyskotliwości i talent (jakże przerażają mnie te słowa). Ale ponieważ to wszystko jest u mnie wysoce deficytowe, przeskoczę w tym miejscu do wydarzenia zdecydowanie najdonioślejszego i będę szybkim krokiem zmierzał do końca.

Owego czasu byłem już nastolatkiem z pełną, lekko pryszczatą, gębą. Wiadomo jako to nastolatek – hormony, wspomniana już mutacja, zacięcia na szyi, wahania nastrojów, melancholijność, kontestacja, wilczy apetyt oraz inne takie tam... Pewnego wieczoru, znów lipcowego, wyszedłem "wyprowadzić się" na spacer. Usiadłem na ławce na rynku nieopodal zabudowań; z otwartego okna usłyszałem muzykę i jakiś aksamitny głos pytający mnie : "Powiedz, powiedz, czemu świat twój milczy cały błądy od wzruszeń". Nie umiałem odpowiedzieć. Gdy usłyszałem refren, wstałem i powiedziałem sobie : "Nie jestem sam! Jestem panem mych snów, marzeń i lęków, straconych dni, łez, wylanych łez!" Szorstki, męski głos poruszał mnie do głębi. Zlewał się z muzyką w czarowną całość. Gdy piosenka dobiegła do końca, świat się zatrzymał. Zapomniałem o całej przeszłości, zresztą jedynym jej powabem jest to, że minęła. Zrozumiałem, że znalazłem to, czego tak długo szukałem. A właściwie to TYCH TROJE mnie znalazło...

Byłem świadomy, że odtąd świat już nigdy nie będzie taki sam. I nie jest.